

Seweryn Pollak "Andrzej Poleski"
MOKOTÓW

Nad zwaloną dzwonnica
polata wolny gołąb
i ginie w kłębach dymu -
mokotowska dzielnica
pod słońcem schyla czoło
w olśnieniu, blasku ginąc.

A przed domem, na placu,
skrwawione materace
schną w świetle zbyt jaskrawym,
a na niebie błękitnym
klomby pocisków kwitną,
zdobiąc w kwiaty Warszawę.

Zieleń, kwiaty, stygmaty,
biało-krasne opaski,
bohaterstwo bez granic-
tak już było przed laty,
prosto z mostu, bez maski
rzucić życie na szaniec.

Aby potem ... Cóż potem?
Krwawych ruin opłotem
umocniony Mokotów,
zwarty wolą, ponury,
pięść unosi pod chmury:
"Bądź gotów!"

Wiersz drukowany w powstańczym piśmie "Robotnik Mokotowski", nr 6 z 24 września 1944 r. , opatrzony podpisem "Andrzej Poleski".

Tekst publikowany w antologii]. Szczawieja Poezja Polski Walczącej 1939-1945, W-wa 1974.

Seweryn Pollak (1907-1987). W czasie okupacji uczestniczył w podziemnym życiu kulturalnym Warszawy.

Podczas Powstania w szeregach P AL na Mokotowie. Po wojnie zajął się głównie działalnością dziennikarską i twórczością przekładową

Józef Pieprzyk

WARSZAWSKY POWSTAŃCY W NIEBIE

Ktoś do bramy niebieskiej mocno pięścią tłucze
przeżony Piotr Święty leci z pękiem kluczy.
Drzwi cośkolwiek uchyla, zerka okiem na dół
a tu stoją przy bramie żołnierze gromadą.
- Czego chcecie - zły pyta - i skąd wy urwańce
-Wpuść nas, Piotrze! Jesteśmy warszawscy powstańcy.
Byliśmy nawet w piekle, aby ogrzać ręce.
Nie wpuścili nas Piotrze, bo tam pełno Niemców.
W czyścju także byliśmy, gromadnie przed chwilą,
lecz Anglicy nie chcieli tam dać nam azylu.
Po Chmurach chodziliśmy, po mrozie i wietrze
zmarznięci i zmęczeni ...Wpuść nas Święty Piotrze!
Wpuścił zbrojną kompanię. Po gwiazdzistym bruku
maszeruje, aż niebo budzi się od huku.
Święci patrzą, Sam Pan Bóg izdebkę odmyka
przygląda się, patrzy i fajeczkę pyka ...
... a szereg za szeregiem ... - same miny dziarskie -
robociarze, harcerze - to dzieci warszawskie ...
A na piersi każdego rozdanej i nagiej
jak szarfa honorowa - skrawek polskiej flagi.
I niebo zapłakało gwiazdy roniąc blade
i Bogu łza upadła przy tej defiladzie.
A wieczorem - w dalekie miasto spopielone
zapatrzonej posmutniał.....

Tekst przekazany Muzeum Powstania Warszawskiego jako wiersz napisany podczas Powstania Warszawskiego

Autor nieznany

TAK DZIŚ CHODZI SIĘ WARSZAWĄ

Raz na lewo, raz na prawo,
Trochę naprzód, trochę w tył,
Tą dziureczką proszę śmiało,
Czołem w rurę - guz już był,
Teraz drugi, jutro trzeci,
I tak czas nam szybko zleci.
Po piwnicach, barykadach,
Na czworakach i przysiadach,
Raz na lewo, raz na prawo -
Tak dziś chodzi się Warszawą.

Głową wypad, nogi w górze,
Torba płącze się przy rurze,
Z mroku OPL wypada:
"Czy przepustkę pan posiada?"
"To przepustka? Gdzie kennkarta?"
"Ta przepustka nic nie warta!"
"Panie, nie pchaj! Moja noga!"
"Odejść z drogi, tu załoga,
Wojsko idzie." "Boże miły,
Moje kartki się zgubiły!"
"Marszałkowska? Nie, tu Krucza."
"Niech mi pan już nie dokucza,
Trzy dni idę." "Skąd?" "Z Ochoty,
Mam tu ciotkę, panie złoty ... "
"Idź pan prosto, już podwórko."
"Kiedy zaraz idę dziurką
Tu na prawo." „Ja - na lewo.

Nogi w górę -leży drzewo!"
"Padnij, stój, przepustka, hasło."
"Kucnij, wstań, coś z bliska trzaśło!"
Raz na lewo, raz na prawo:
Tak dziś chodzi się Warszawą!

Tekst drukowany w powstańczym piśmie "Barykada Powiśla", nr 26 z 2 września 1944 r.
Autorstwo nie zostało dotychczas ustalone. Tekst publikowany w antologii J. Szczawieja,
Poezja Polski Walczącej 1939-1945, W-wa 1974.

Juliusz Krzyżewski
DO CIEBIE, WARSZAWO

Do ciebie, Warszawo, przenieśliem
lata zielone i dziecinne,
i wiek młodzieńczy i dorosły,
Narew i pola ukraińskie,
i nad polami prawosławne
krzyże drewniane, przekreślone
na pożegnanie, i pasieki,
po sadach słomą okapane,
biało-różowe ciche domy,
w lat perspektywie cichsze jeszcze.

Rodzina Łomża tu, nad Wisłę,
na wilanowskie łąki zeszła
cieniami drzew i po ogniskach
wieczorne mgły i dym rozwiesza.

Kocham cię, miasto mej miłości,
którą poznałem wbrew ochocie,
miłości śmiałej, jak te mosty
nad rzeką skamieniałe w locie.
Kocham cię, miasto, za twój urok,
za szyk wesołych warszawianek,
za poszarpane twoje mury
niby korona albo wianek,
za wspomnień skarb i za bezwzględną
miłość wolności, która świeci
jak miecz Zygmunta, co z legendą
skrzyżował się we wrześniu.

A w belwederskich okien głębiach
wielkości cień przystaje w pąsach;
odbiera żale i przysięgi
i marszałkowskie szarpie wąsy ...

Aż widzę dobre, piękne czasy,
gdy przez Alei amaranty,
przez gwar świąteczny kadilakiem
Naczelnik jechał z adiutantem.
Trzeciomajowych kwiatów bukiet,
pana Wieniawy postać smukłą,

mundurów gal, cylindrów ukłon
i tęcza bramy ponad brukiem .
...i raut na Zamku, i w Resursie
bal uroczysty, potem skandal
i dużo śmiechu z tego, jak to
żona ministra gubi takty,
i jeszcze coś ... bo pewien wandal,
z zawodu malarz czy konował,
z nią tylko pił i z nią tańcował,
aż bano się, żeby mołojec

w ministerialny nie włożył kojec,
lecz się nie nadał, bo przy świadkach
poklepał damę ... po łopatkach.

O dobre czasy! O beztroskie
wizyty nocne u kochanki!. ..
Dziś zapomniane, "jak przesłanki,
z których już wyciągnięto wnioski ... "
Dziś, właśnie dziś, jesienią wczesną
z ruin kościołów i kamienic
w legendzie wstaje nasza przeszłość,
której nie cofniesz ani zmienisz,
i klęski nasze, i zwycięstwa,
i ta nadzieja nieustanna,
co wargi ścina mocy gestem,
że nim opadnie mgła poranna,
nim pękną pięści bólem zwarte,
powieje wiatr i zaszeleści
historii naszej nową kartę
w jesieni ...

Międzylesie 5 VIII 1943

Wacław Bojarski

ZIELONY POMNIK

Przechodziłem Krakowskim Przedmieściem niedbale i potocznie
koło zburzonego pomnika Wdzięczności -

- jakim trudem wznieść mi to uczucie proste a pomnikowe przecież -
- żeby zapęlić ten brak kamienny w powietrzu potocznym i niedbałym?

Chyba tylko powietrza tego do płuc nabrać - z wdzięczności, że przecież mimo wszystko -
- jestem.

I teraz patrzę:

Na trawnikach wynajęci starszycy ziemię kamyczastą i szklaną malutkimi łopatkami ciapią.
Niezdarni i mrużący cichutko tajemnicze dziaduniowe piosneczki.

Tak się nam ziemia śpiewnie i powoli napoczyna.

Jak to tak można? Jak można?

Ponad nimi przecież rosną drzewa i słupy tramwajowe - wysokie.

Megafony na drzewach i słupach krzyczą wojnę.

Wojną rozchwiane gną się i szumią drzewa.

Teraz karabin maszynowy nienawistnie koszący liście z drzew pamiętam.

Teraz -

- liście chmurami czerwonej żółtości od drzew jesiennych odpadają

- jak słowa kłamliwe.

To było. A choć jest już przedwiośnie,

Suchymi konarami w górze klekocze wojna.

Jak to tak można? Jak można?

Ależ na to, żeby w tej chwili pochylić się tak nad ziemią ledwie napoczętą i posłusznymi grabkami grudki
koloru ciemnobłond głaskać

- i tak prosić:

- no, rośnij, rośnijże, soczysta! -

- na to trzeba być starymi herosami, rzucającymi siwe brody łagodnie na wiatr.

Kiedy się wreszcie piach koloru ciemnobłond, kawałki cegieł, szkła
i tej ugornej, przyulicznej niemożliwości jakiejś

- kiedy się dadzą herosom w podartych jesionkach -

- uprosić o zieleń -

- odrośnie w próżni bolesnej święty pomnik wdzięczności -

- wdzięczności dla własnych sił, że oto, mimo wszystko -

- jesteśmy!

O POLEGŁYM

pamięci St. Łomienia

Przymierzaliśmy postaci tamtych do śladów drobnych, jakby zrobionych pazurkiem wiewiórki, która przebiegła w pośpiechu.

Gdy rozumiałem cień jego włosów tam, na murze z cegieł czerwonych, niebo szarzało od deszczu i śmierci. Między cegłami w silnym betonie gną się delikatnym jak puch spalonych lasów.

Ach, więc to profil twarzy dziecinniej przechylonej na promieniu słońca?

Wołanie na pustkę pól mazowieckich wyrównanych jesienią?

Spod brzoź w "złotym deszczu" stojących niebo i ciszę przynosić?

To drzewa srebrne i rzeki szumiące bardziej od obłoków i kwiatów pisane w półcień stawania się leżą tu, pod niejasnym wiekiem salwy?

Na tamtej, na tamtej stronie tak już cicho. Krew wypaliła w murze szczelinę na wylot - tam leży pudełko od sardynek, kości zwierzęce i trochę śmieci już nieokreślonych.

To uroczystość zapomnienia, dlatego chodnik umyty odświętnie.

Przechodnie kapeluszami na ceglach rysują gorączkową wieczność.

To już pod cegłą, pod płytą, pod asfaltem zamieniony w ciemność opada ...

Pośród domów i ruin nieruchomiejących wciąż nieubłagane ta kapryśna czerwona linia o brzegach rozlanych na asfalcie drży jak niewyraźna litera rozpoczętego słowa.

Gdy na dzwonku tramwajowym zadzwoni niebo wciąż szare i pochyli się nad nami, czy zrozumiesz, czy zrozumiesz, po co żyć i po co umierać.

ROK 44

Na żółtej od końskiego gnoju ulicy okrągłe wróble wypełnione zdziwieniem skaczą między dziwnymi kształtami, które upadły na bruk z zalanych gipsem ust konających.

Grupka ludzi, zaplątanych w jakiś stary deszcz jak w drut kolczasty, tkwi na rogu.

- Co za cholerny naród - piszczy pękata kwiaciarka w kraciastej chustce i zaczyna się energicznie rozpychać łokciami.

Jakby w odpowiedzi wykrzywiona cegła wystająca z ciemnego tynku skrzypi przeciągle jak żuraw.

A gdy ospowaty mur na wprost marszczy się jak toń rzeki, jest tak cicho, że słyhać, jak daleko w zadętych śniegiem chałupach pomarańczowy ogień gra nieśmiało na pochyłych, zakopconych kominach i rozżarzone węgle odrywają się z sykiem.

I tylko górą sztandar chmur.

I tylko dołem milczenie ust otwartych.

Czarny jak burza Kopernik kamienieje nad arkadami przestrzelonymi kropelką krwi.

Ludzie i drzewa rosą ociężale pośród topniejącego śniegu, znaczeni małymi jak pocisk krzyżami na czołach.

Za nimi na horyzoncie ognisty słup.

- Co za cholerny naród - pisnęła znów pękata kwiaciarka w kraciastej chustce.

Leciutko podfruwają wróble nad dziwną ojczyzną, która potrafi się tylko objawiać pozłożonym żytem i brzozami albo skrzepem krwi wśród końskiego gnoju.

Ale tu jest zaledwie śnieg, więc zakwitają białe trawy i matka nuci martwemu dziecku kołysankę monotonna o kraju modlitw i przekleństw wypełnionych.

Ale tam - Mickiewicz żelaznym skurczem łamie kształt nad stojącą drętwo ciemnością i płomieniem

- i straszliwa przepowiednia dopełnia się powoli jak głąz wychylony z podstaw.

Ludzie na rogu gną się ciężko jak most.

- Co za cholerny naród - piszczy pękata kwiaciarka w kraciastej chustce.

ŻYCIE

Tylko przed świtem widać było, jak deszcz gwał wierzby i łoży nad wodą spłoszoną skrzydłem wracającej sowy.

Ale to już dawno, gdy ziemia wyrzuciła z siebie krzyk i płomień, który zburzył domy i chorągwie.

Pamiętasz, poległy przyjacielu? - krzyk i płomień gasł w dłoniach rozwartych - nocą wznosiły się strzały ostatnie jak srebrne bańki powietrza z ust tonących.

Niebo płynęło wtedy głębokie i spokojne, a gotyckie źdźbła trawy pochylały się blisko, coraz bliżej, już w oczach.

I umrzeć było tak łatwo - tylko dniem w dym i słońce się pochylić, tylko nocą gwiazdy coraz chłodniejsze dłonią z czoła odgarnąć.

Domy pękły i posypały się w gruzy popielate i pomarańczowe - sprzątnięto je - na tym miejscu w skleconych naprędce sklepikach prądkowany grzebień szczyrzy zęby w krzywym uśmiechu i świeci tysy pagórek cebuli. Pod murem rząd koszów z chlebem i bułkami.

Idą ludzie ulicą, na której kamień i asfalt już tylko.

Więc umierać jest trudno.

- Tam gdzie rozebrano barykady, wyrósł las pomidorów i poranny krok robotników grzechocze po wymytych mgłą płytach, i ostry głos trąbki samochodowej strzela z pędzącej na obławę kolumny.

Z amarantowych płatów druku, niespokojnych jak chorągiew, znów krzyk i cisza ścieka na ulicę, na której kamień i asfalt już tylko

- Więc umierać jest trudno.

Bo pod wysokim sklepieniem salwy życie jest proste jak śmierć.

Przyjacielu, padając pod łuk salwy - uważaj, nie uderz głową o kosz z chlebem.

POD NIEBEM

Pod niebem przechylonym jak okręt tonący stoją kamienie i żelazo pogiete w kształt na wpół ludzki.

I wycinek trawy jesiennej rzadkiej i zrudziałej, pod którą kości poległych rysują deseń cieniutki jak kwiaty mrozu na szybach.

Tu mały konik o wyleniającej grzywie i wystających, za dużych oczach ciągnie wóz z sianem o zapachu zachodzącego słońca.

Prosta nuta pociągu spływającego po moście z bierwion poczeriałych i szmer salwy podobnej westchnieniu idzie przez równinę porośniętą deszczem jak sitowiem.

I to, i pamięć niejasna dymu i sosen nad uśmiechem, i cisza po tych, co zginęli, jest ojczyzną, którą niesiemy na wpół senni pod niebem przechylonym.

I nie ma w nas nic prócz nocy, w której cień skrzydła obrysowany przerażeniem, i prócz nienawiści wpiętej u ramion niewidocznie - czasem tylko błyskającej na wytartym, lśniącym kancie hełmu lub oczu, lub metalowego guzika.

To pod każdą płytą i kamieniem ciemnieje twarz przyjaciela lub ojca o ustach otwartych boleśnie jak u ryby uduszonej.

Więc drżący jest horyzont i ręka śmiesznie w pustkę wyciągnięta.

W niewielkiej kałuży przeglądają się ubłocone buty i twarz przecięta skurczem bezradności.

Krzywonogie dziecko przebiegło w kulejących podskokach i bryznęło błotem. Dalej dwóch pijanych chłopców w wytartych baranich czapach zatacza się bełkocąc między jednym a drugim napadem czkawki - Jeszcze Polska.

Zaczyna się ściemniać, zamykają sklepy, ale jeszcze widać, jak za rogiem jaskrawo kwitnie przerażający sen o rozstrzelanej siostrze i trzech morzach szumiących.

O WOJNIE

Przez las, drogami z sosnowych okrągłaków samochody wiozą wojnę. Dalecy podnoszą broń do oka. Na przedmieściu w krytych żółtawym płótnem straganach sprzedaje się jabłka i tęcze. Motory huczą na lądzie, w powietrzu i na morzu. To nawet posiada pewien wdzięk - z Nowego Świata widać głęboką brudną zieloną wodę, którą pancernik wypisuje tęsknotę na kanale La Manche. Widać też, jak w oknie pierwszego piętra krótko ostrzyżona dziewczyna bawi się z kulawym kotkiem. Czołgi wspinają się na ścianę kwitnących nikło krzaków i grzechoczą, jakby wiozły w środku czaszki i piszczele.

Domy i wieże sypią się gradem na ziemię - siwy koń ciągnie pod górę pług, słońce i wrony siadają na wyoranych kamieniach - dym z krematoriów buja w pogodnym niebie. Jednocześnie na skraju lasu i łąki wojenni podchorążowie ćwiczą natarcie.

Teraz można spostrzec zwisające z drutów telegraficznych bibułkowe, prawie białe skrzydło anioła, który piegowaty był chyba. Niżej kaleka o chytrej twarzy gra na grzebieniu *Warszawiankę*. To jest szklista powierzchnia rzeki nieruchomej, ale zaraz jedna z wielkich ryb rzucających się w głębi wyrwie się na wierzch.

WARSZAWA

Podczas budowania barykad Wisła pełna odbić lasów, ptaków i białych dróg wysadzanych topolami podniosła się - z początku jak mgła - potem jak sztywna okładka książki. W jej cieniu świtaniami wychodzą stróże wielkimi, postrzępionymi miotłami zamiatać płacz, który zebrał się przez noc i zalega ulice grubą warstwą. Już i przekupki poszerzone do granicy blasku słonecznego zachwalają kartofle wyrosłe na grobach. A na horyzoncie ulicy poprzez huk granatów leżących w załomach bruku już od miesiący przesuwa się dusza miasta. Odbicie jej twarzy za trudnej do zrozumienia zostało na wykrzywionych twarzach ruin jak na chuście świętej Weroniki. A ci, co przyjdą kiedyś-kiedyś i będą chcieli je odczytać wodząc sinymi od chłodu rękami po rysach naciągniętych jak struny i nieuważnymi palcami będą potracali jęk zaschłych

w szczelinach - wybuchną modlitwą czy przekleństwem.

- Ojczyzna zbiegła się tu z wyrąbywanych lasów i wsi zmienionych w wycie psa. Trwa wzniesiona na szepcie broni maszynowej. To tyle krwi i patosu trzeba było czekać, by z ciszy zburzonych pomników zbudować takie sklepienie nad miastem jazzu i śmierci. Teraz lemury z gotyckich świątyń obsiadły dachy tramwajów i straszą urzędników ubezpieczalni wracających do domu. Pod płytami trotuarów snują się umarli i tętnią w puklerze dające głuchy odgłos, a wieczorem w szpalerach szeptów chodzą pod rękę z żywymi i poznać ich można tylko po skrzydłach zręcznie złożonych, które im jednak odstają na plecach jak garby. Ale za dnia huczą olbrzymie kamienne kołowroty i jedynie koło południa, gdy ludziska zasiądą do obiadu i robi się trochę ciszej - słysząc wyraźniej ciężki miarowy stuk podkutych butów Boga.

Kazimierz Wierzyński

NA KOLUMNĘ ZYGMUNTA

„Jest u nas kolumna w Warszawie

SŁOWACKI

Jeżeli i ty runiesz, jeśli ciebie zburzą,
Na której sadzał ongi podróżne żurawie
Słowacki niewygasła potrząsany burzą,
Widzący cię w obłokach, w swym śnie
o Warszawie-

Zostaną jeszcze oczy, Kilińskiego oczy,
Zielone od płomienia ulicznej latarni,
Jak w tamtym wierszu skryte ...

Z nich kiedyś proroczy,
Mścicielski krzyk uderzy, upiora spod darni
Żywi ludzie usłyszą podziemne wołanie,
Na wiatr sztandary wyjdą, grot błysnie u drzewca,
I wolność z czarnej ręki podźwignie się szewca,
I kolumna królewska na placu powstanie.

1944

Władysław Broniewski

63

Ujazdowskiej już nie ma Alei,
została Gołgota Męstwa.
Ja wykreślam Aleję Nadziei
i Most Zwycięstwa.

Ja nie jestem urbanistą, specem
od ustawiania cegły,
ale moje słowa doleczą
do Niepodległej .

Ockną się martwe ulice,
spojrzą milcząco:
Wolska, Krakowskie, Waliców,
Krucza, Wilcza,

skrwawiony łeb Żoliborza
padnie na tors Śródmieścia,
upiory szepną: "Może?
Wreszcie! ... "

zrąbany wstanie Mokotów,
Praga, wielokroć krwawa,
nieugięte Wola z Ochotą...
Wierzcie: z orlim skrzydeł łopotem
zmartwychpowstanie W A R S Z A W A !

Palestyna 1944

Mieczysław Jastrun

RUINY KATEDRY ŚWIĘTEGO JANA

Gdy się po piętrach gruzów wspinam
Na szczyt Katedry obalonej,
Narodzin krzyk, nie śmierci dzwony
Z przepaści słyszę. Czy stworzenia
Nowy się dzisiaj dzień zaczyna?
Bduje z błysków warg, z milczenia,
Z kropel ulewy, co się zmienia
W burzę świetlistą - i godzina
Staje, wychodzi czas z obiegu,
Niebo pod nogi rzuca burza,
Kości zrastają się na nowo,
Z chaosu ziemia się wynurza
I słyhać chrzęst, stworzenia słowo,
Na tym kamiennym śmierci brzegu.

Jak gdyby się na nowo zrastał
Kościół Świętego Jana, grób,
Który dziś leży nam u stóp
W pustyni umarłego miasta.

Jak gdyby wspinał się i rósł,
Sklepienia łączył, spajał łuki
Ponad zwaliska, cegły, gruz,
Porozrywany dziś na sztuki,
Wstawał jak dzień z przepaści gróz.

Zniszczenia i tworzenia dzieło
W ten jeden dzień. jak w dźwięk, stopione,
Jak gdyby to, co dziś się wszczeło,
Na zawsze miało być złączone.
Jak gdyby po żelaza burzy
Miała przyjść burza serc karząca
I sprawiedliwa - tu gdzie żużel
I popiół także z ludzkich serc.
Dzień z jadowitych warg wysącza
Światło, przy którym blednie śmierć.

To już nie gruzy katedralne.
Płaczące skamieniałym psalmem,
Głazy wrzeszczące stromą śmierć,
Walące się w požodze ściany,
Jak je w widzeniu obłąkanym
Ujrzał poeta - ale pieśń
Stworzenia, z ruin powstająca,
Kopuła z blasku i błękitu,
Odbudowana znów od szczytu,
Powietrze hymnem szturmująca.

Już pobojowisk niepamiętna -
Czytam ją z każdej nowej twarzy.
Poznaję w zgiełku godzin. w gwarze.
Żadna mi rzecz nie obojętna:
Ten wiatr. co gdy gałązką chwije.
Jak dziecko. czy się roześmieje.
Czy gdy zapłacze - nie pamięta;
Ten błysk, co złoci liść klonowy.
Ta jesień, która nie zasmuca,
Choć drzewo od stóp drzewa zrzuca:
Ten kamień. który ma nadzieję.
I cóż, że w porę tak surową
Poetów opuszczają słowa,
Gdy słowo pierwsze mówią dzieje.

Wojciech Bąk

WARSZAWA O ZACHODZIE

Myślałem: miasto ruin. I ruiny są
I przychodzę przez gruzy ze zgrozy poblady
I wiem: te zgłiszczą święte są męczeńską krwią
W mieście, gdzie tylko mury - lecz nie dusze padły.

W Starym Mieście jak ciężko stopom deptać gruz,
Uświęcony cierpieniem i wiejący sławą!
Wiatr, który w oczy wieje zażawione kurz,
Sypie się w me źrenice bolesną Warszawą.. .

... Tutaj stos bomb na domy z mściwym rykiem
spadł

Tu płomień szarpał żywe ciało miasta w złości ...
I czuję każdą ranę, każdej bitwy ślad -
A to są wielkie rany, rozdarto do kości.

Patrzyłem w te płomienie, słyszałem ten huk,
Widziałem chmury dymu z domów wypalonych ...
I znam ten krwią zalany, udręczony bruk -
I wiem - to wielkie rany - to głębokie rany...

... Ale krew jest zwycięska! Słyszę bliski szum -
To Warszawa żyjąca tłumami wyrasta ...
Są groźne rany ruin, lecz ten głośny tłum -
To zdrowa krew gojąca bolesnego miasta.

Jakby gruzów nie było - wkoło krzyk i śmiech.
Jakby nędzy nie było - ten tłum jest zwycięski -
Toczy się ulicami miasta żywa krew!
Niepamiętna pożarów, obozów i klęski!

Ja znam tę krew radosną - znam jej nagły rytm.
I słyszę - to ta sama krew niezapomniana -
Niezmieniona klęskami i ciosami bitw-
Zalewa groźne gruzy Warszawy rozśmiana.

Warszawa wiecznych nadziei. wiecznych dumnych
snów.

Stolica w Polskę sławą wparta z lwim uporem -
I słyszę w kroku tłumów głuchy pomruk lwów
I oddechem lwim Wisła oddycha wieczorem ..

Nad miastem rudy zachód wszystkie blaski dnia
Skupił. w niebo płomieniem wysoko rozlany ..
... A ja nie widzę blasku, ale grzywę lwa -
To Warszawa lwia blaskiem ponad Polską trwa
I płonącym językiem liże ruin rany!

Julian Tuwim

AB URBE CONDITA

Zaraz nazajutrz. tj.:
Dnia Osiemnastego Stycznia roku Tysiąc
Dziewięćset Czterdziestego Piątego,
Kiedy skwierczące miasto
Dogrywało jak ofiarna jałowica na religijnym stosie
I tymi drgawkami kończyn świadczyło o życiu.
Które było śmiercią,
I dyszało, konając, czadem spaleniźny.
Jak sierść całopalnego zwierzęcia;
I kiedy po drabinach dymu
Już się w niebiosą wspinała Warszawa.
Aby dalekim prąpokoleniom
Na wysokościach
Zaświecić kiedyś mitem astralnym,
Ognistą legendą,
A tutaj zostać wygasłym kraterem.
Kraterem wulkanu do dna wykrwawionym -

Dnia Osiemnastego Stycznia roku Tysiąc
Dziewięćset Czterdziestego Piątego,
Na rogu Ruin i Kresu,
Na rogu Gruzów i Śmierci,
Na rogu Zwalisk i Zgrozy,
Na rogu Marszałkowskiej i Jerozolimskiej,
Co padły sobie w płonące objęcia.
Żegnając się na zawsze, całując płomiennie -

Zjawiła się pękata warszawska babina,
Nieśmiertelna paniusia z chusteczką na głowie
Postawiła, dnem do góry, skrzynkę
na ruinach.
Podparła ją meteorem; jakimś szczątkiem Miasta
I zawołała nieśmiertelnym tonem:

"Do chierbaty. do chierbaty,
Do świeżego ciasta!"

Nie widziałem jej. ale widzę:
Łzy się toczą
Z jej - mimo wszystko - uśmiechniętych oczu.
Mogła się zjawić Niobą - Żalobą
Furią wieszczącą, panią Hiobową.
Rachelą, dzieci swoje płaczącą -
I też by jej uwierzono.
Mogła przyfrunąć wiedźmą na mietle
Czy upiorzycą w krwawiącym świetle
Dnia zgliszczowego -
I też by jej uwierzono.
Mogła - bajeczna Wielka Piotrzyca-
W patos jambiczny zestroić słowa.

Że nowy wstanie gród z rumowisk
"Na złość dufnemu sąsiadowi"-
I też by była prawdziwa ..

Mogła stanąć na skrzynce wzniosłym monumentem,
Upozować się pięknie i zadeklamować:
"Per me se va nella citta dolente" -
I nikt by się nie zdziwił.
Ach, mogła wreszcie, Klio nie Klio,
Liwiusz w spódnicy,
Siąść na kamieniach wymarłej stolicy
I byle gwoździem na byle cegle
Wyskrobać tytuł:
"Od założenia miasta" - --

Ale ona - inaczej:
"Do chierbaty , do chierbaty
Do świeżego ciasta!"

Założycielko! .Pionierko! Muzo! ---.
Dziś - stuk i łomot w całej Warszawie
Ku twojej sławie!
Dziś każdy murarz każdą nową cegłą
Pomnik twój wznosi!
I cała Polska - paniusiu! paniusiu! -
Wieczność twą głosi. (...)

Sława królowej w koronie ruin, --
Której na imię po prostu: Warszawa!

Antoni Słonimski

MOGIŁA NIEZNANEGO MIESZKAŃCA WARSZAWY

Antyczni, nadzy i ogromni,
Zastygli w krzyk kamiennych warg,
Których na łukach tryumfalnych ark
Ustawią kiedyś w rząd potomni,
Bohaterowie wielkich dni,
Na tle chorągwi i barykad,
Antyczni, nadzy i ogromni,
O których co dzień komunikat
Podawał światu rapsod nowy,
O was historia nie zapomni
I narodowy rzuci pieśniarz
Ziarno męczeńskiej waszej krwi
I posiew cierpień,
I uniesień
Na nowy Sierpień,
Nowy Wrzesień,
Na nowych dni sześćdziesiąt trzy.

O was historia nie zapomni,
Lecz któż na grobach będzie siadał
Tych, którzy trwożni i bezdomni
Padali mrowiem niezliczonym,
Któż się o milion ten upomni?
I jaki pieśniarz będzie składał
Słowa gorące i szalone
O tych, co w cieniu waszej glorii,
Bez narkotyku wielkich czynów

Konali w męce dla wawrzynów,
Co wasze skronie ozdobiły,
Rzucając pomiot ciał swych zgniłych
W dymiący, krwawy gnój historii?

Dla was pieśń moja i łzy moje,
Zwyczajni, prości, nieogromni.
Kiedy na zgliszcza wróci życie,
Na narodowy święty grób,
Gdy kości będą zbierać z szańca,
Aby z nich dźwignąć pomnik sławy,
Niech na cmentarnej będzie płycie
Ten napis prosty, napis 'krwawy':
Tu leży Trup
Nieznanego Mieszkańca
Warszawy.

Ernest Bryl

SIERPIEŃ

Warszawo moja, wpół miejska, wpół wsiowa,
Pełna nas, cośmy hurmem z prowincji zjechali,
Cośmy się niby przez gruz przegryzali.
Warszawo moja - bezkształtna, surowa

Ani taka, ni siaka. Ciężka jak zakalec,

Miasto, gdzie się dzielnica z dzielnicą rozmija,
Jak dwa okręty nie wiedzące wcale,

Że płyną obok siebie po morzu okrutnym,
Które usypia czasem, a czasem zabija ...

o miasto, moje miasto z twoim świętem smutnym,
Kiedy to w wielkiej ciszy się uczymy,

Jak się jednoczysz z nami, jak nas zespalasz
Twardziej niżli na kamień ...

Kiedy to patrzymy,
Jako się pierwsza świeczka w Powązkach zapala,

A potem światło za światłem liczymy
Powoli, dokumentnie - żeby się naumieć,
Jak żyć w tym mieście rosnącym na trumnie.

Leopold Staff

PIERWSZA PRZECHADZKA

Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.

Nikt o tym jeszcze nie mówi nikomu,
Lecz wiatr już o tym szepcze po ogrodach.

Nie patrz na smutnych tych ruin zwaliska.
Nie płacz. Co prawda, łzy to rzecz niewieścia.

Widzisz: żyjemy, choć śmierć była bliska.
Wyjdźmy z tych pustych ulic na przedmieścia.

Mińmy bezludne tramwajów przystanki...

Nędzna kobieta u bramy wyłomu
Sprzedaje chude, blade obwarzanki...
Będziemy znowu mieszkać w swoim domu.

Wystawy puste i zamknięte sklepy.
Życie się skryło chyba w antypodach.
Z pudłem grzebyków stoi biedak ślepy...
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.

Ty drżysz, od chłodu. Więc otul się szalem.
Bez nóg, bez ramion, w brunatnej opończy
Młodzi kalecy siedzą przed szpitalem.
Widzisz: już pole. Tu miasto się kończy.

Zwalone leżą dokoła parkany,
Dziecko się bawi gruzem na chodniku,
Kobieta pierze w podwórku łachmany
I kogut zapiał krzykliwie w kurniku.

Kot się pod murem przeciąga leniwo,
Na rogu człowiek rozmawia z człowiekiem...
Znowu w sklepiku zjawi się pieczywo
I znów zabręczą rano bańki z mlekiem.

Przejdą dni ciężkie klęski i rozgromu
I zapomnimy o ranach i szkodach...
Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.

Tadeusz Hollender

UŚMIECH WARSZAWY

Patrz, to jest dumne miasto — Warszawa,
więcej niż tysiąc okropnych dni
wlecze się sprawa trudna i krwawa,
a ona walczy, a ona drwi.

I chociaż dzisiaj broczy i krwawi,
z jej krwią pisanych, codziennych kart,
jak płomień pośród burz i błyskawic,
śmieje się co dzień jej dobry żart.

Codziennie krwawo te żarty płaci,
a jednak nie ma nocy ni dnia,
by żart na szwabskim nie błysł plakacie
na znak, że żyje, walczy i trwa.

Na wszystkich murach co dzień obraża
szkopów, Führera i całą oś
i na latarniach, bramach cmentarza
znów „nur für Deutsche” napisze ktoś.

Wbrew szubienicom, mordom i krzyżom,
wbrew mocy, która podbiła świat,
wielka Warszawo, polski Paryżu,
śmiech na ruinach kwitnie jak kwiat.

Bo ten zwycięży, który się śmieje,
rozpacz to dzisiaj ogromny grzech,
dla tych, co zawsze mieli nadzieję,
brzmi twój przekorny, zwycięski śmiech.

Dziś „nur für Deutsche” — jutro für Polen
zażyjesz jeszcze wolności swej,
jutro zaśpiewasz im carmagnolę,
śmiej się, Warszawo, śmiej się nam, śmiej!

Tadeusz Gajcy
ŚPIEW MURÓW

Nocą gdy miasto odpłynie w sen trzeci
A niebo czarną przewiążę się chmurą
Wstań bezszelestnie jak czynią to dzieci
I konchę ucha tak przyłóż do murów

Zaledwie westchniesz a już cię doleci
Z samego dołu pięter klawiaturą
W szumach i szmerach skłębionej zamieci
Minionych istnień bolesny głos chóru

„Bluszczem głosów spod ruin i zgliszcz
Pniemy się nocą na dachy i sen
Tobie Warszawo w snach naszych śniesz
Nucąc wrześniami żałobny nasz tren”

- Biegłam rankiem po chleb do piekarni
A chleba dotąd czekają tam w domu
A ja leże z koszykiem bezradnie
Tuż za rogiem nieznana nikomu

- Właśnie ręką chwycił za granat
Żeby czołgi przywitać nim celnie
Ziemia była spękana zorana
Nagle świat mi się zaćmił śmiertelnie

- Myśmy obie wyniosły na noszach
Jeszcze kocem okryły mu nogi
Bo krzyczeli dokoła że pożar
Ja na świstku pisałam „Mój drogi”

„Bluszczem głosów spod ruin i zgliszcz
Pniemy się nocą na dachy i sen
Tobie Warszawo w snach naszych śniesz
Nucąc wrześniami żałobny nasz tren”

Słuchaj tych głosów żalosnych żarliwie
Nim brzask poranny uciszy je w niebie
I nowe miasto w napiętej cięciwie
Dni tryumfalnych na nowo pogrzebie

Słuchaj tych głosów boś po to szczęśliwie
ocalon został w tragicznej potrzebie
byś chleb powszedni łamał sprawiedliwiej
I żył za tamtych i za siebie lepiej

Jak nie kochać strzaskanych tych murów
Tego miasta co nocą odpływa

Kiedy obie z grackiego marmuru
I umarła Warszawa i żywa.

Adam Ważyk

PTAKI SPALONEJ WARSZAWY

Ptaki, spalonej Warszawy świadkowie,
lecą i płaczą w stulecie-pustkowie.

Prawda w ich dziobie jest ździebełkiem słomy,
w słońcu wydłuża się cień ich ruchomy.

Córka Warszawy patrzy na nie bosa,
a one gniazd nie uwiją w jej włosach.

Ptak, co cierniowi w jej stopie zazdrości,
śpiewa w powietrzu o mieście miłości.

Na ziemi cegły układając człowiek
buduje miasto, które zna spod powiek.

Jan Janiczek

ULICA OPACZEWSKA

Ja jestem zła ulica. Nie przystępuj do mnie,
Najeźdźco, który niesiesz śmierć samolotową!...
Swojego broń miasta twardo i niezłomnie...
Do walki jestem zawsze skorą i gotową...

Ja jestem zła ulica!... Stawiam barykady
I pluję armatami, karabinem walę.
Nie przerażają mnie twoich bomb tonowych grady
I czołgi twe jaszczurcze chwytam wciąż zuchwale.

Ja jestem zła ulica!... Lecz swe kocham dzieci,
Których mi co dzień więcej na tonie umiera,
Gdy kamienic gromnica przy tym jasno świeci.

Ja jestem zła ulica!... Lecz choć głód doskwiera,
Nie wpuszczę cię do miasta, gwałcicielu krwawy!
Ja, pani Opaczewska, broń dziś Warszawy!

Wiersz umieszczony na pomniku Barykada Września, w dzielnicy Ochota.

Andrzej Nowicki

MOJA OJCZYŻNA

Gdy o Ojczyźnie mojej myślę –
Myślę: Aleje, Zjazd, Powiśle.
Nie las, nie łąka, nie łan zboża,
Lecz Krzywe Koło, Wspólna, Hoża.

Tobie Ojczyzna – wioska, ruczaj,
Mnie Mokotowska, Bracka, Krucza.
A kiedy bierze mnie tęsknota,
To myślę: Chmielna... marzę: Złota...

Jeśli mam zginąć dobry Boże,
To za spalone domy Hożej.
Jeśli mam zginąć – niech mnie zniszczą

Za Nowy Świat podobny zgłiszczom,
Za Świętokrzyską zrujnowaną,
Za Dobrą, Twardą i Drewnianą.

Lecz przedtem daj mi ujrzeć latem
Księżyc idący Mariensztatem...

1940 r.

Władysław Broniewski

ŚCIANA PŁACZU

Kilka starych kamieni
i płacz - przez tysiące lat...
Gdybym mógł to zamienić
na Wierzbową i Nowy Świat,

szedłbym z "Ziemiańskiej" do "Ipsu"
płacząc rzewnymi łzami,
a we mnie Apokalipsą,
babilońskimi rzekami

łkałoby i szlochało
Jeremiaszową pieśnią
serce, to znaczy: chaos,
warszawskie serce po Wrześniu.

Ten wiersz, który krwawi i szydzi,
te słowa nic już nie znaczą:
przyszedłem tu płakać, Żydzi,
pod Ścianą Płaczu.

Władysław Broniewski

PIĘĆDZIESIĘCIU

Październikowy mrok, jak kat,
nad śpiącym miastem groźnie stanął,
wśród pustych ulic świszcząc wiatr,
stukają buty SS-manów

i jak bredzenie ciężko chorych
przelata ulicami miasta
październikowa noc Szesnasta
z rykiem motorów. Czy upiorów?...

Warszawa nie śpi, okiem okien
rachuje auta: siedem... osiem...
Warszawa nie śpi i - drapieżna -
przyczaja się w udanym śnie,
bo sen Warszawy - to jej gniew,
a wtedy czuwa i snu nie zna.

Zerwanych mostów nie wyminą
pociągi, rezerw nie dowiozą:
już tydzień przy skręconych szynach
brzuchami świecą parowozy
i zamarł wszelki ruch na wschód,
cały garnizon trwa pod bronią.
Tylko patrole, tak jak wprzód,
chodzą z pistoletami w dłoni,
tylko po mieście, tak jak zwykle,
złowrogo trzeszczą motocykle...

Październikowa noc okrakiem
stanęła - czemu? - nad Pawiakiem,
rozlała śmierć po więźniów twarzach,
przez kraty przepuściła świt,
a wtedy - tupot w korytarzach
i w każdej celi klucza zgrzyt!

Apel pośpieszny, apel krótki,
jak salwa: Alle raus! - i wtem,
jak słowo, które w gardle utkwi,
ten dzień zaprzestał być już dniem.

Ich wszystkich było pięćdziesięciu.
Wiązano grupy po dziesięciu

i pchano siłą w paszcze aut,
a potem - Wola, Włochy, dworzec...
Nad wszystkim bujał, jak proporzec.
dopełniający się już gwałt.

O patrz, Warszawo, to są ci,
za których się historia mści,
to oni wolą nieugiętą
uczyli nas, jak żyć, jak bić się,
jak gardzić życiem, kochać życie,
ażebym syn i wnuk pamiętał...
O, patrz Warszawo, toż to tamci,
którzy nas mieli zmiażdżyć, stłamsić,
przed nasz są powołani sąd,
by im wyrokiem wskazać krwawym,
że siła podłych nie jest prawem,
że to bluźnierstwo, że to błąd.

Ich było tylko pięćdziesięciu,
z Powiśla, z Woli byli wzięci,
z warsztatów pracy, fabryk, hut...
To oni każdą z bruku cegłą
o wolność bili się, o lud,
o chleb nasz i - o Niepodległą!

Ich było tylko pięćdziesięciu,
lecz po nich poszły nas miliony
w wojennym szczęściu i nieszczęściu
ku dniom, tak wtedy oddalonym.

Ich było tylko pięćdziesięciu,
a myśmy zaciskali pięście...

Obywatele, towarzysze,
nic więcej o nich nie napiszę..

1948

Wczesnym rankiem 16 października 1942 r., przy torach kolejowych w Rembertowie, we Włochach, w Markach, na Pelcowiznie i na Woli, Niemcy postawili szubienice, po dwie w każdym z tych miejsc i na każdej z nich powiesili po pięciu skazanych. Było ich pięćdziesięciu, więźniów Pawiaka, którzy zostali zamordowani w odwecie za akcję "Wieniec I".

Niemcy byli całkowicie pewni, że zniszczenie torów zostało dokonane przez żołnierzy Gwardii Ludowej instruowanych i kierowanych przez skoczków radzieckich.

Prawda była inna. Otóż z 7/8 X 1942 r. żołnierze AK wykonali akcję kolejową pod kryptonimem "Wieniec I". Zadanie polegało na zablokowaniu warszawskiego węzła kolejowego przez jednoczesne przerwanie szlaków komunikacyjnych wokół Warszawy i wykonane zostało wzorowo.

Akcję "Wieniec I" przeprowadzili żołnierze AK. W odwecie Niemcy stracili około 90 więźniów, w tym 50 na szubienicach. Nie znamy przynależności organizacyjnej i politycznej większości z nich. Wśród ofiar znaleźli się tak komuniści, jak i działacze Delegatury Rządu, żołnierze AK i członkowie innych organizacji niepodległościowych.

Poległym i zamordowanym jesteśmy winni pamięć, o czym dobrze pamiętało społeczeństwo

Rembertowa wznosząc przy stacji kolejowej pomnik pamięci tej straszliwej zbrodni. Otoczenie pomnika zostało dobrze zagospodarowane. Jako symbol dziesięciu powieszonych, posadzono 10 topoli.”

W odwecie Gwardia Ludowa przeprowadziła zamachy bombowe na lokale "Nur für Deutsche", Café Club znajdujący się na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata oraz „Mitropa” przy Dworcu Głównym. Atak na Cafe Otto nie powiódł się i zaatakowano cel zastępczy drukarnię kolaboracyjnego "Nowego Kuriera Warszawskiego". Dla upamiętnienia zamachu na Cafe Club powstała w 1964r. mozaika na ścianie domu w Alejach Jerozolimskich i uwierzcie mi bardzo długo nie wiedziałem, co ona przedstawia, choć od dzieciństwa widziałem ją setki razy. W 1949 r. wyprodukowano film "Za wami pójdą inni..." w którym przedstawiono zamach na Café Club. Pamiętam też komiks "Podziemny Front" zeszyt nr 1 "Zamach".

W 1948 roku Władysław Broniewski napisał wiersz poświęcony powieszonym więźniom Pawiaka

ŹRÓDŁO: Wojciech Dąbrowski, Blog

Leon Pasternak

POWRÓT

Zbłąkany -pośród zgliszcz stanąłem,
wśród wzgórz dymiącej, krwawej cegły,
wiatr sypał śniegiem i popiołem
na groby i co wśród ruin legły.

Ja - syn wygnany tego miasta,
z daleka wracam drogą trudną
- a w oczach łuna już dogasła
- a serce w piersi skrzepło grudą . . /

Spalony dom mój, skwer i jodła,
rozdarty bruku tli się kamień,
tęsknota, co mnie tu przywiodła,
strzaskana leży pod gruzami.

Ktoś walczył tutaj, ile tchu miał,
dopóki krew nie uszła wszystka -
i ginąc śmierci nie rozumiał,
zaciekle klątwy w niebo ciskał

za nigdy wrogom nie poddaną
Warszawę nawet w gruzach gniewną!
Za swoją śmierć nierozumianą,
za swoją krew - nienadaremna.

Warszawa, luty 1945 r.

Julian Przyboś
Z POPIOŁÓW

Wydobynam was - jak z przepaści słuchu,
słyszę gruzy:
kształt wszystkich w jedną chwilę stłoczonych wybuchów,
nie domy - lecz bomb zatrzymane rozrywy.

Rozgwar i huk stuleci
skupione w chwili: miasto, gdy runęło na żywych:
zmieściliście je w swojej śmierci.

W spalonej bramie
nadziemna twarz zasypanego w piwnicy:
ciemność.

Na powalonych kolumnach
klon obwiązuje poranione ramię
pierwszym wiosennym liściem;
z popiołów nade mną
wstaje drzewo: sztandar żywiołu
wasz, niczyj.

Nad nim zorza wieczorna: ostygła z łun pożarów łuna.

Warszawa, marzec 1945

Antoni Bogusławski

BZY W WARSZAWIE

Tam także bzy zakwitły . . . Pienią się w ogrodach,
wylewają się kwiatem nad zorane skwerki.
Słowiki, jak co wiosny, po gałęziach młodych
perlą się kaskadowo w topolnych Łazienkach.

Szkoda mi tamtej wiosny i szkoda mi siebie:
nie pójde nurzać twarzy w fiołkowych kiściach .
Trzeba wspomnieć - zapomnieć, tęsknocie się nie dać
i granatem niechybnie nauczyć się ciskać.

Okwitną bzy w Łazienkach, pożółkną topole,
i utoną mogiły w podeptanych trawach.
Żałobna fioletem, tęskniąca w niewoli,
woła bzami z daleka majowa Warszawa.

Julian Tuwim

KWIATY POLSKIE (fragmenty)

A polski bez jak pachniał w maju
W Alejach i w Ogrodzie Saskim,
W koszach na rogu i w tramwaju,
Gdy z Bielan wracał lud warszawski!
Szofer nim mał swą taksówkę
Frajerów wioząc na majówkę,

.....

... Więc jak pachniałeś, bzie warszawski,
Kiedy, rażąca i nieznośna.
Przyszła, ruiny strojąc w blaski,
Nowej niewoli pierwsza wiosna?
Gdy szafirami cię uświetnił
Bezwstydnie piękny strop niebieski,
Ty, znad ogrodzeń wzdłuż Królewskiej,
Z zarośli przy Teatrze Letnim,
I ty, od Żabiej, od Niecałej
I z tego wzgórza ponad stawem,
Na którym, w owym wrześnie krwawym,
Ptaki, od huków oszalałe,
Przed śmiercią - jeszcze pożegnały
Łabędzią pieśnią swą Warszawę!
Jakżeś się wstydem nie zapłonił,
Kiściami pachnąc obfitymi?
Nic nie mów. Nie chcę znać tej woni.
Lecz już chrapami rozdętymi
Węszę twój mokry, chłodny zapach,
Gdy znów nurtować będę w krzakach
Świeżego bzu na wolnej ziemi.
O, jakie salwy aromatu

Zagrzmia z gałęzi twych kwitnących,
Z pąków na wiwat pękających,
Na zazdrość i na dziw armatom,
Armatom tobą umajonym,
Grzmocącym hordy rozgromione
Tych zbirów, łotrów, szuj, psubratów,
Szubrawców, rozbójników, katów-

.....

Rzeko, co wiernie w swojej fali
Warszawskie powtarzałaś gwiazdy
I każdy świt, i każdy zmierzch,

Jak się powtarza piękny wiersz
(Płynnie i drżąco - a -czasami
Głos ze wzruszenia się załamie
Jak światło w strumienistej wodzie,
Lecz jeszcze wdzięczniej, jeszcze słodziej
- Toczy się wtedy razem z łzami),
O, rzeko, co na pamięć znałaś
Niebieskie nieba poematy
I strofy chmurek na wrywki,
I sagi burz, i zórz Iliady,
I pismo święte naszych gwiazd -
Aż przyszło ci, pieśniarko szara,
Ogniem stolicy swej zapalać
I wyc, gdy wycie usłyszałaś
Warszawy, Hioba polskich miast!
Gdy się nad tobą strop roztrzaskał,
Płynęłaś w purpurowych blaskach
Tym samym prądem niewzruszonym,
Płynęłaś dumnie i swobodnie,
A domy miasta, jak pochodnie,
Lecz odwrócone w dół żałobnie,
Pochodem w tobie szły czerwonym ...
Wrócimy, Wisło, po tę czerwień,
W głębinie twej chowaną wiernie,

Wrócimy z wichrem, zbrojnym w gniew
I w nową młodość, wiarę nową ...
Ten wichur - naszą pięść poderwie
I blask, i krzyk, i wiersz, i krew!

Rio de Janeiro, listopad 1940
- New York, lipiec 1944.

MIRON BIAŁOSZEWSKI, PAMIETNIK Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO (fragmenty)

Akurat ja zabrałem klucze, jakeśmy wychodzili z domu wtedy w popłochu. Brzęczą mi teraz wciąż w kieszeni. Lecę do Żelaznej. Przed Żelazną znów powstańcy leżą, strzelają w stronę Wroniej, zmęczeni, spoceni, między jakimiś gratami.

- Dokąd, dokąd?

- Ja muszę. Chłodna 40.

- Gdzie? Nie wolno.

- Ale Matka. A ja zabrałem klucze.

- Panie! Nic pan nie pomoże. Ani klucze na nic, ani w ogóle ...

- Ale ...

- Tam już są Niemcy.

I cofnąłem się. Wpadłem na podwórze Ireny. Helka z Jadźką gotowe. Jeszcze raz pytam Ireny, jak ona. Ale ona wciąż stoi koło tej bramy, w tej samej grupce, tak samo wisi jej przez ramię chlebak, i w ogóle do niej nie bardzo dochodzi, co mówię. Więc ja, Heńka, Jadźka - wylatujemy w Ogrodową, tym razem na prawo. I biegiem ... Któraś z nich powiedziała:

- Tylko zdejmijmy pantofle, żeby nie było nas słyszać.

Zdejmujemy. Lecimy. Boso. Ogrodową. Barykada. Przeciskamy się. Do Solnej. Pali się po drodze. Huczy. Lecą belki. Szum. Spadają w ogień. Z dudnieniem. Lecimy Solną. Do Elektoralnej. Barykada. Przeciskamy się. I dalej. Elektoralną. Do placu Bankowego (tam, gdzie dziś Dzierżyńskiego, tylko mniejszy i trójkątny). Pali się po prawej stronie. Cały dom - jeden płomień. Lecimy. Gdzieś za Orlą pali się cały dom po lewej stronie. Właściwie dopala się. Stropów już prawie nie ma. Ani ścian. Tylko wielkie ognisko na jakie trzy piętra. Znów szumią belki, obrywają się. Gorąco. To chyba Urząd Miar i Wag. Noc. Tu ciszej. A może w ogóle atak zaczął przycichać? Jesteśmy nie jedni w biegu. Cały potok na Starówkę. Więc za ludźmi wlatujemy w lewo. W dziedzińce - na tyły - Resursy, czyli Rotundy, dawnego Ministerium Finansów i Pałacu Leszczyńskich. Luźniej, mniej ciasno. Od placu Bankowego pojedyncze huki. I znów gzymsy. Tylko mniej szare. A żółte. To znaczy w tym świecie (ledwie świecie) takie, jakby pod śnieżką. To tu może te gołębie. Się zrywały. Albo też tylko te gzymsy. Na innej zasadzie. Bo z anielicami Coraziego. W girlandach. Tympanony. Wylot na Leszno. Tu nagle na pewno świta. Zatrzymują nas przy barykadzie, aż się zbierze więcej. Są jacyś nawet Żydzi z ich kobietami. Jedna z tych Żydówek trzymała worek pod pachą. Barykada jest w poprzek Leszna, u dzisiejszego wylotu na Trasę W-Z. Tylko po prawej stronie była Rymarska, jako wylot placu Bankowego. A w lewo - Przejazd z widokiem, takim jak dziś, na Pałac Mostowskich. Żydom sprawdzają jakieś papierki. Oddzielają ich. Do dalszego sprawdzenia. Nas puszczają. Całą grupę. Wlatujemy między barykady Leszna. W Przejazd. Tam kawałek. I skręt w prawo. Przez barykadę. Długa. Pohukiwania. Na lekkim skręcie Długiej po lewej Pałac Pod Czterema Wiatrami. Pali się calutki. Już się kończy. Wyje ogień w oficynach, we frontie. Szumią, spadają belki. Tympanon z płaskorzeźbami jeszcze jest. Migają medaliony. Bramy dziedzińca z kuciami. I te Cztery Wiatry. Na filarach bramy. Mają złożone skrzydła. Igrają, świecą. Jeszcze bardziej roztańczone niż zwykle. Lecimy dalej.

.....

W piwnicach bloku A poznaliśmy jednego inżyniera. Potem, kiedy Swen już prowadził modlitwy przy naszym ołtarzu, napisaliśmy, we dwóch do spółki, aktualną litanie.

Pamiętam z tej litanii:

Od bomb i samolotów - wybaw nas, Panie,
Od czołgów i goliatów - wybaw nas, Panie,
Od pocisków i granatów - wybaw nas, Panie,
Od miotaczy min - wybaw nas, Panie,
Od pożarów i spalania żywcem - wybaw nas, Panie,
Od rozstrzelania - wybaw nas, Panie,
Od zasypania - wybaw nas, Panie ...

Litania była dosyć długa. Odmówiliśmy ją jednego wieczora. Na głos. Strasznie to chwyciło. Zaczęły ją odmawiać i inne piwnice. Pamiętam, że odpisaliśmy ją inżynierowi. Na drugi wieczór ten inżynier spotyka nas i mówi:

- Wiecie, panowie, że waszą litanie odmawia w tej chwili półtora tysiąca ludzi w moim bloku.

Bo było nas pod tym jednym adresem co najmniej 3000. Samych powstańców było 350 czy 300. Zresztą ich przybywało. Tak samo jak i cywilów. Z innych zbombardowanych domów. Tak jak ten Leonard. Odmawianie modlitwy przez Swena wynikało nie tyle z jego pobożności, co z aktorstwa. Przedtem te modlitwy były nieco monotonne. Ze Swenem zrobiło się od razu ciekawie.

I sensowniej. Swen, oprócz aktorstwa, miał wycucie życiowości, czyli najświeższych potrzeb. Po którejś modlitwie wieczorowej, chyba tego dnia, kiedy w tym małym schronie koło wejścia bili się siekierami (nic sobie zresztą nie zrobili), Swen zwrócił się do wszystkich, od ołtarza:

- Proszę państwa, przysięgnijmy sobie, że nie będziemy się kłócili.

- Przysięgamy ... - powtórzył pokornie cały tłum.

I nawet to pomagało. Przynajmniej na pewien czas. A potem znowu Swen to powtórzył. I schron znów pokornie przyrzekł sobie. I znów pomogło na ileś. Więc jednak nie takie gołosłowne.

.....

Ale niedługo zlatywały samoloty, świdrowały, to odłączanie się bomb, wycie, cisza - i:
- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście ...
- i tu nieraz potrafiło nagle - jak grzmotnąć!

Przeważnie wybuchalo przy ośmiu, dziewięciu. No tak. Ale samoloty znów zlatywały i:

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem ...

Trzask!

W nas? Nie ... Ale już wycie.

. - Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem,
osiem, dziewięć ...

Trzask!

Nie, obok, chyba - no bo jesteśmy. Innego dowodu nie było. I już lecą, wyją ...

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem,
osiem, dziewięć, dziesięć ...

Trzask!

Ale już następne:

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, szesc, siedem,
osiem, dziewięć, dzie-sięć, jedenaście ... dwa-naś-
cieeee ... trzy-na ... ście ...

- O ...

Potem mogła być nagle przerwa. Pół godziny.
Godzinę. L.

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem,
osiem, dziewięć, dziesięć ...

sss - i zaraz

- raz, dwa, trzy, cztery, pięć, szesc, siedem,
osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście ...

trzy-naa-ście.; ...O ...

i już zlatywały nowe

- raz, dwa, trzy, cztery, ... O rany!.. .. - i znów
za trochę

- o już są

- o Jezu

- raz, dwa, trzy, cztery, pięć, szesc, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwa-
na-ście ... trzy-naa-ście ... o!

To był dzień. A w nocy. Leżymy. Potokiem. Potokami. Piwnicami. I nagle:

trzszach... trzszach... trzszach... tszach... tszach ...

tszach ...

Podmuchy, ogień i rwanie murami - po sześć razy, przeważnie .

Ale jak te mury chodziły ... raz patrzę - a one chodzą chyba na metr w tę i w tę ... i w tę
i w tę ..

rozlatujemy się?! ... niee - pohaustały się trochę mniej, coraz mniej, i ustawiły ... tak jak stały.

Przecierałem oczy ze zdumienia. Po każdej takiej "szafi.e" ludzie chwilę

- ru-ru-ru ... - i kładli się od razu, tak jak stali,

i od razu spaliśmy. I znów:

- wh ... sz ... wh rzsz ... wh ... sz - ognie, podmuchy, latające mury (czerwone), ludzie
z dziećmi na rękach hurmem rzucają się w stronę beczki, w wąskie przejście do tamtych piwnic,
a ci z tamtych piwnic rzucają się w nasz schron. Wszyscy naraz. Zderzają się, objijają o siebie.
Wracają. "Szafa" ucicha. Rzucają się na prycze. Śpią. Dopóki znów. Za godziną. Za dwie.

Za pół:

- wższch ... wższch ... wżch ...

I znów z tymi dziećmi na rękach, buch, w przejście, tamci do nas, zderzenie, cisza, oklapnięcie,
tak jak stoją, w ubraniach, w płaszczach ... z dziećmi, chrapią ...

O, nie. Noce od 12 sierpnia nie były dobre. Pomijam pociski. Czołgi. Podejścia.

To - te "szafy".

Po mąkę ... wyprawa. Była raz. Udana. Daliśmy tej kobiecie. I ona miała. I myśmy mieli.

Ale zaraz Swenowi przyszło do głowy niegłupio, że na - ile nas było? - Mama, on, ja, Celinka, Ciotka Uff. i Zbyszek - sześć! no więc, że na sześć osób po dwa razy dziennie, nawet po razie, nawet przy reszcie sucharów, bo jeszcze były, to nie tak dużo tej mąki. I powiedział:

- Chodźmy na górę.

Poszedłem za nim. Pierwszy raz było też źle. Coś waliło. W nasz blok. W te części. Ale jakoś. Trzymałem się. A teraz coś mniej. Na pierwszym piętrze krzyczę do Swena:

- Wracamy!

On:

- Nie!

Nagle trzask. Pocisk w ścianę obok.

Swen leci wyżej.

Krzyczę:

- Wracamy! Swen! Swen!

On nic.

Ja krzyczę (pociski wałą) i już wychodzę:

- Ja schodzę! Nie chodź!

Nie pomogło. Pociski były w schody. W te nasze. Ja zwałem. Stchórzyłem. Swen za moment wrócił zziębnięty i uśmiechnięty z nową mąką.

- A z moją Mamą, nic nie wiecie? Została na Chłodnej. Ja mam klucze. Chciałem dojść do Chłodnej.

- Nic nie wiemy. Gdzie chcesz dojść?

- No, Leszkiem spróbować, tam.

- OOO ... szkoda mówić. Jak? Nie dojdiesz. Co myślisz? Daleko dojdiesz? Do Żelaznej? I że Chłodna 40 nie ma Niemców?

- Ano tak - pogodziłem się.

- Idź do babci z Ryśkiem, on cię zaprowadzi,

a ja przez ten czas dogotuję krupnik. Chcesz? Dużo dostaniesz.

- Tak, chcę ...

- No to idźcie, ale babcia się rozpłacze ...

Idziemy do Pałacu. Wchodzimy. Przez ten zajazd. W półokrągłe, idące w tę i w tę, rokokowe, szerokie korytarze, balowe kiedyś; teraz pstrzy się tu światło żarówki... i ludzi, ludzi. I gadania, szu- mu, ruuu ... ruu ... , a gratów pod sufit. Po obydwu stronach - jeden stos gratów w górę koło drugiego - i ludzie, na tym, pod tym, niżej, siedzą, leżą, gadają ... i zakręt, i zakręt - i tak idziemy, idziemy wciąż skrętem.

Aż tu Rysiek pokazuje:

-O!

Patrzę - siedzi.

Siedzi. Babcia Frania.

- Babciu. Babciu.

Obraca się na stołku, patrzy, z czerwonymi oczami. I łapie mnie za szyję, i całować, i w płacz.

- Co z twoją matką, co z tobą, bój się Boga,

tak się martwię o was. Co z Kazią?

Mówię, co (Kazia - moja Mama).

Posiedzieliśmy. Wróciliśmy. Dostałem zupy.

Gęstej. Pysznej, dużo kaszy. Pełno. Pełną, ogromną michę. Zjadłem.

- Chcesz jeszcze?

- Jeżeli można.

Dostałem drugą. Taką samą. Co za szczęście było wtedy z tymi dwiema michami - do syta.

Posiedziałem. Trzeba było wracać. Ale właśnie zaczął się paskudny obstrzał Długiej. Z tego siedmiopiętrowca z Przejazdu.

- Jak ty wrócisz? Jak przejdiesz?

- Pod barykadą.

Jakoś z każdą minutą robił się gorszy. Wyleciałem. W bramie Długiej, właściwie w sieni tej przy barykadzie - widzę, że ludzie co i raz hop! plecy w dół i lecą w poprzek. Chwilę zbierałem odwagę. Ale widzę: łączniczka - leci - i nic sobie nie robi, to ja lu! schylam się, przelatuję - pewnie, że tylko tak. I już lecę drugą stroną Długiej. W głąb, w głąb. Koło wypalenizny. Pod Czterema Wiatrami. Aż po skręt i załom. Tam, skąd widać już plac Krasińskich, dalej - Długą. Tam, w lewo, jest uliczka - za tym załomem Długiej - maleńka, ślepa, na Ogród Krasińskich od tyłu. Barokowa ją się nazwało. Formalnie. Przed wojną. (...)

Raptem - bombowce. I już kucają na dachy, sypią bomby. Już ich nie ma. Już są. Dalsze. Bliższe. Już wlatują w Barokową. My też. One na ośle. My też. My to ja. Z drugim. Jak ja. My. We dwóch. Tu. Tylko. Ni stąd, ni siąd. Bo już. Są!

.....
Jedna. A tu tyle: pac! pac! My z podniesionymi kołnierzami. Co za głupi instynkt? Ska-
czemy. Pac-pac! Byle nie dać się. Trafowi. Wszystko ważne. Bo leci. Ukosami.

Z rozpędów. Pomiędzy murkami. Szszu - brzzzum. Osypy. Tynki. Coś. Rynnowo. Czekać? Nie.
Ale byle nie stać. Szszum. Ta góra fruwa, może usiąść... My skoki na ileś,

naraz pac! Nic. Uniki. Same ... Jak trzeba, w moim mniemaniu (...)

Po nalocie. Facet w swoją. Ja w swoją. Wtedy biegiem. Długa. Plac. Długa. Mostowa.

W dół. Przejścia. Dół. Rybaki. Kocie łby. My. Czyli - o! jest! - Swen spłakany. Łapie mnie.

Matka Swena mówi:

- Co tu on nie wyprawiał - cały czas, że ty już nie wrócisz, że coś się stało.

- Eee - macham ręką.

.....

Dużo się chodziło, bo raz wtedy, kiedyś, ze Swenem, obaj poszliśmy, chyba specjalnie, do Katedry. Odwiedzić. Jeszcze raz. Zobaczyć się z nią. Dotknąć. To było potrzebne. U nas. Z tą Katedrą. Nic nie pamiętam z drogi. Tej i z powrotem. Na pewno biegłem. Chyłkiem. Szlak staromiejski. Dziura, piwnica, leżący, ranni:

- O Jezu ...

Galeryjka. Balia. To prywatne coś. Baby. W murze. Do Dominikanów. Chyba. Mig: Mostowa-barykada - leżący - strzelający - widok - Praga (inne miasto?). Gdańska Piwnica. Stare mury. Czerwone. Rynek. No, i wejście do Katedry. Popołudnie. Upał. Jednak spokojniej. I ten tłok w środku. I to zapylenie. Podeszliśmy. Prezbiterium. I nie tłok od ludzi. Ale rzeźb, postaci, figur, świętych, biskupów, poźłacańców, inful... Tłok ... Tłum. Światłocień. Upał. Ale nieostry światłocień. Reszta ómawa. Tam - na przodzie, w głębi, w dole (od drzwi) zapylenie. Podeszliśmy, Prezbiterium miało stalle. Po tej i po tej. No i ołtarz. I te katedralności. Fotele, trony, nalepy, narzuty, narośle. Stalle miały ciasno łeb w łeb - rzeźby, postacie. Ale wtedy to były i te dodane, jak się okazało. Mało tego: zebrane, u drzwi, na posadzkach, zdaje się, po prostu oberwane, ocalałe, schronione się tu, zebrane w tłok, z różnych miejsc, już rąbniętych. Odpust wisiał w powietrzu. Zbiór. Czy obiór. Sąd, ostateczność. I to raz-dwa, w dwa, trzy dni.

Gazetka, zawsze biegiem. Ktoś wpada. Daje. Te łapią. Ta przelapuje. Ta dalej. Te do ołtarza. Za świece. Tu Swen. Już ma. W rękach, w środku. Już otoczenie. Oblepienie!... Bomba. Ta dosłowna. Jako wiadomość:

- "Dziś o godzinie ... została zbombardowana doszczętnie Katedra."

- O o o ...

Pamiętam. To - o o o - szło przez wszystkie prycze, filary, sienie, schody.

- O o o ...

Jak jeszcze stała, choć podszarpywana, mówiło się, że tam się tłukli ci z tymi. Że barykady z konfesjonałów i z cukru (w worach).

To tak jak z tą Mennicą. Ci tu - ci tu. Albo- gmach PAST-y - potem, w Śródmieściu. Szło plasterami. Piętro - ci. Piętro - ci. I to wszystko uparte, długie. Dni. Noce. A i tygodnie. Albo to, że w kościele Świętego Krzyża powstańcy na kościele. Niemcy na organach. Coś, że rzucali piszczałkami. Wyrywali. Czy że huczały. Same, piszczały, dmuchały. Albo te sprawy kanałów. Że na Żoliborzu to można wpaść w burzowiec, do Wisły. Porywa co i raz - tych, co idą. A na Mokotów trzeba nisko, garbić się. A z Czerniakowa idzie się chwilami prawie na klęczkach. W dodatku tam nawrzucaли i gazów, i granaty. I zasieki we włazach. Zatyki.

To były te - nie mity - bo przecież żywe prawdy.

Jak Bracka 18. Wpadli. Wyrznęli. Wycofali się.

.....

Czesław Miłosz
SZEDŁEM DZISIAJ PRZEZ OGRÓD

Szedłem dzisiaj przez ogród od wiosny zamglony
alejami skąd widać ulicy zwałiska.
Wiatr tu rozwiewa murów popalonych złomy,
skrzypi żwir. Kropla deszczu i drzew na czoło pryska.

Jakieś pary na szczątkach ławek. Niebo chmurne.
W taką wiosnę przystanąć, na ścieżce rysować
i z myśli wszystkich wrogich, walących się szturmem
jedną wybrać, jak łódkę wiozącą przez powódź.

Więc myślałem kim jestem. Jestem człowiek nagi,
co nic nie miał i nie ma, choć wszystkiego czeka.
I dziwi się, skąd w oczach ma tyle powagi,
skąd upór i skąd w sercu płomienista rzeka.

Myślałem dalej, jestem sam sobie nieznany,
co z mozołem opowieść trudną w sobie czyta,
jak ktoś, kto jadąc poprzez oceany
ziemię widzi i nie wie jak ta go przywita.

Wiosny żadnej nie pragnę. Nie słabość mi każe
tak całą dumę ludzką spokojnie odrzucić.
Pole, gdy je sierpowi stratują żniwiarze
tak długo leży puste, choć ma kłosem wrócić

Wolno mi tylko mówić, jak można najprościej,
to czego dotknie ręka i zobaczą oczy.
Dzień każdy, kamień głuchy w wielką toń przyszłości
i milcząc na chleb czarny pracują prorocy.

Wiem, że można rycerskość, męstwo i niezłomność
złożyć i zamknąć w metrze kwadratowym ziemi.
Żadne się pokolenia o to nie upomną
i ani krzyż ni pomnik mogił nie ocieni.

Bogi wszystkie zawodzą. Zostawmy w spokoju
religie, co dzwonami wśród sztandarów huczą.
A kiedy barbarzyńcy miecz ogniem uzbroją
z nimi razem pobitym pieśń śpiewają kruczą.

Doczesna zemsta ludzi i niebieska bogów –
obie nade mną wiszą. Która gorsza, nie wiem.
I cień swój w nocy widzę i stoję na progu,
a mój dom za mną drżącym dogasa zarzewiem.

Tylko cierpliwie czekam, aż we mnie wyrosną
nowe ziarna, a nowe mnie obmyją świty.
I na pochmurnej ścieżce tak witam się z wiosną
i z głową spuszczoną idąc przez ogród rozbity.

Warszawa, 1941

Czesław Miłosz
MIASTO

Nad ruinami wstaje dzień, wędrowny grajek pustym oknom gra,
Z głową na bok schyloną skoczne tony ze skrzypki wywodzi.
A w oknie tylko niebo, gołębi miga ćma,
I tak w tej rannej ciszy świat nowy się rodzi.

I wiatr, gdy struny drutów pękły, martwe drzwi otwiera,
Na których klamce dotąd pozostał niezmyty
Ślad ręki przypadłego bez wieści bohatera,
I toczy po pokoju dziewczyny zabitej
Szcęsany z włosów puch.

A serce bije. Słuchaj. Jest w tym dziw nad dziwy,
Że ono trwa, gdy wszystkie oczy patrzą - nowe,
Że wygrzebaną spod cegieł pokrywy,
Stopioną w ogniu na drzwiach wieszają podkowę

Na inne szczęście. Słuchaj. I radość, i wstyd
Życ jeszcze raz, na nieobeszłej ziemi,
Powracać i ślubować, gdy zmarzły kasztan kwitł,
Winy dawne odkupić czynami lepszymi.

Bólu prawdziwy, sławo i niesławo,
Ty wielka, że godna jesteś jedynie milczenia,
Brzękiem słów pustych twego nie dotknie imienia,
Kto tęsknił, wie. Nie powie nic. Warszawo.

Poprzez węgierskie góry, sowieckie ugory
Szliśmy do ciebie. Znamy te noce nieludzkie,
Kiedy zgłodniałym oczom, przez otwarte chmury
Nie ty, lecz inne miasta jako stada judzkie
Jawiły się, skupione nad rzeką w dolinach.

Złych mocarstw świata były przed nami granice,
Krzywdą ludzka i rozpacz, te same w innych śpiewały językach,
W twarz nam świeciły azjatyckie, zmęczone księżyce,
Lecz gdyśmy na siebie spojrzeli - twój wzrok nas spotykał.

O Bolesna. Na gruzach praskich grająca kapela,
Mosty w dymach i serce bijące - i to wszystko.

I los - jak niebo, kiedy się rozdziela
Linia ognistą.

Że po raz drugi kształt nam ludzki oblec dano
I witać światłem buchające wieki,
Ty, żyjący, nie pytaj tamtych, co to znaczy.
Z pól, gdzie hełmy im rdzawią topniejące śniegi,
Z barykad, z placów trawą zarosłych powstaną,
Życia twojego żaden ci z nich nie przebaczy.

Grajku poranny, komu ty tak grasz,
Tam są schody bez domu i piętra bez żywych.
- Tobie gram, najpiękniejsze z urojonych miast
I najsmutniejsze z prawdziwych.

Warszawa, 1940

Tadeusz Borowski, POŻEGNANIE Z MARIĄ (fragment)

Przyszedł furman, aby się ogrzać. Kucnął przy piecu i sapiąc wystawił do ognia splekane od wiatru i mrozu dłonie. Kozuch parował na nim i śmierdział wilgotną skórą.

- Budy na mieście - rzekł woźnica. - Byłem w centrali. Na ulicach pusto, aż strach jechać. Mówią, że jak z Żydami skończą, to nas będą wywozić. I u nas też łapią. Koło cerkwi i przy dworcu aż zielono od żandarmów.

- A to ładnie - prychnęła mała urzędniczka. Wstała nerwowo od stołu. Włoczyła nogami w zbyt głębokich kapcach, kręcąc z nieświadomym wdziękiem kościstymi, przebijającymi przez cieką sukienkę biodrami. - Jakże ja wrócę do domu?

- *Per pedes* - rzekłem kwaśno i włożywszy pośpiesznie kurtkę wyszedłem z kantoru. Ostry wiatr zmieszany ze śniegiem zaciął mnie w twarz. Nad skrzynią z wapnem kiwał się rytmicznie robotnik. Przystupując z zimna nogami, jak śpiący koń, mieszał gracą lasujące się wapno. (...)

Bramę składu kierownik przymknął. Gdy łapanka obejmowała uliczkę, zamykaliśmy ją na kłódkę. Pijani policjanci oczyszczali uliczkę z resztek tłumu, który przemykał się ku polom. Niemiecki żandarm, wyższy nad tłum i jego troski, ale baczny na każdy ruch policjanta, obojętnie bił żelaznymi butami o bruk. Na placu pod ścianami domów było jeszcze gwarno i tłoczno. Pod oknami i parapetami przekupnie trzęśli kolanami, tupali nogami w słomianych chodakach i darli się ochryple nad koszykiem z bułkami, papierosami, kaszanką, pączkami, białym i razowym chlebem. Wydawało się, że to czarna ściana domu trzęsie się i krzyczy. W bramach ważono na prymitywnych wagach świeże mięso wieprzowe i przelewano pośpiesznie bimber. Na posesji leżącej na tyłach szkoły trwała jeszcze zabawa. Karuzela z jednym ogłupiałym dzieckiem na koniu kręciła się majestatycznie przy wtórce wrzaskliwej muzyki. Puste drewniane auta, rowery, łabędzie z rozczapierzonymi skrzydłami płynęły łagodnie w powietrzu, kołysząc się jak na fali. Robotnicy zakryci deskami chodzili pod karuzelą w kierunku. Przy Jaskrawo pomalowanej strzelnicy i w ogrodzie zoologicznym pod namiotem (w którym - jak głosił wyblakły od śniegu plakat - miały przebywać krokodyl, wielbłąd i wilk) świeciło beznadziejnie pustką. Kilku gazeciarzy ze schroniska, z plikami gazet niemieckich pod pachą, kręciło się na przystankach niezdecydowanie. Tramwaje bez ludzi okręcały się w pętli naokoło placu i dzwoniąc łańcuchami wlokły się wzdłuż alei. Drzewa stały ośnieżone, skrzące się w ostrym słońcu, jak wyrzeżane z łamliwego kryształu. Niebo leżało pogodnie, blade, wysokie. Był zwykły targowy dzień.

W głębi ulicy przestrzeń zamykały kamienne bloki domów i kępy nagich, wychudłych drzew. Za wiaduktem, chronionym kozłami hiszpańskimi, zasiekami i tablicami na torach, otoczony kordonem żandarmów falował tłum i podpływał ku wiaduktowi. Z wnętrza tłumu wynurzały się pękate, okryte brezentem ciężarówki i mierząc kołami śnieg, ciężko ciągnęły na most. Za ostatnim wozem wybiegła z tłumu kobieta. Nie zdążyła. Samochód nabrał szybkości. Kobieta podniosła ręce rozpaczliwym gestem i byłaby upadła, gdyby nie pomocne ramię żandarma. Wepchnął ją w tłum.

"Miłość, oczywiście, że miłość" - pomyślałem ze wzruszeniem i uciekłem do składu, ponieważ plac pustoszał przed nadchodzącą łapanką.

Jacek Kaczmarski

CZOŁG

(wg. pomysłu W. Wysockiego)

Gąsienicami zagrzebany w piach nad Wisłą
Patrzę przez rzekę pustym peryskopem
Na miasto w walce, które jest tak blisko,
Że Wisły nurt - frontowym staje się okopem
Rozgrzany pancierz pod wrześnieowym żarem
Rwie do ataku się i pali pod dotykiem,
Ale wystygły silnik śpi pod skrzepłym smarem
I od miesiąca nie siadł nikt - za celownikiem.

Krtań lufy pusta łąknie znów pocisków smaku,
A łyka tylko tłusty dym - z drugiego brzegu!
W słuchawkach zdjętych hełmofonów - krzyk Polaków,
I nie wiem czemu rzeki tej nie wziąłem - z biegu!
Dajcie mi wgrzyźć się gąsienicą w fale śliskie
I ogniem swoim dajcie wesprzeć barykady!
By miasto w walce, które tak jest bliskie,
Bezruchu mego nie nazwało mianem - zdrady!

Lecz milczy sztab i milczą pędy tataraku,
Którymi mnie przed tymi, co czekają - skryto.
Bo *ruskij tank* - nie będzie walczył za Polaków!
Bo *ruskij tank* - zaczekać ma, by ich wybito!
Gdy się wypali już powstanie ciemnym błyskiem,
Włączą mi silnik i ożywią krew maszyny,
Bym mógł obejrzeć miasto - co tak bliskie -
Bez walki zdobywając gruzy i ruiny!

24.08.1987